Świętosławski Ofiara lat nowszych

BOGUMIŁ ŚWIATOSŁAWSKI.

Ofiara lat naszych

(obrazek z 1905 r.)

KRAKÓW.
Nakładem Autora.
G. Gebethner i Spółka.
1914.

BOGUMIŁ ŚWIATOSŁAWSKI.

Ofiara lat naszych

(obrazek z 1905 r.)

KRAKÓW.
Nakładem Autora.
G. Gebethner i Spółka.
1914.

Krwawym mogiłom roku 1905
niniejsze wspomnienia poświęca
AUTOR.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

I.

Uwięzienie.

Dwunasta na wieży wybiła godzina,
odkładam więc książkę i gaszę już świecę,
gdyż sen natarczywie swe prawa wspomina
i siada z uporem na słabej powiece.
Zasypiam znużony tę żywiąc nadzieję,
że może jutrzejszy dzień w nimbie promieni
uśmiechnie się do mnie, pokrzepi, zagrzeje
i troski życiowe na szczęście zamieni.
Sen uśpił już wszędy prawego człowieka;
na mieście ruch ustał, zmniejszyła się wrzawa;
w ciemności latarnia migoce zdaleka
i gwiazdek złoconych gromada jaskrawa.
Tę ciszę, tę błogą, niekiedy przerywa
upity stójkowy, co w bramie gdzieś leży,
lub burda uliczna, pijacka, wrzaskliwa
i mierny patrolu marsz zbrojnych żołnierzy.
Do rana daleko. Noc mroźna śpi jeszcze,
wtem słyszę szmer dziki, natrętne stukanie —
to klątwy żołdackie, to szepty złowieszcze,
a wreszcie za drzwiami: »Otwieraj pan, panie!«
Skoczyłem natychmiast, jak zwierz wystraszony,
którego ogary wytropią gdzieś w norze,

i biedny sierść jeży, niepomny obrony,
a uciec lub skryć się nieszczęsny nie może.
Podchodzę więc do drzwi (nie myśląc już wiele)
i pytam: »Kto puka? odpowiedz mi przecie!«
»My druhy życzliwe! to my, przyjaciele!
Otwieraj pan żywo, bo zimno na świecie!«
Poznałem »życzliwych« po głosie, po tonie,
otwieram drzwi drżący; wkraczają żandarmi,
czerkiesi, żołdacy; w ich oczach złość płonie
i chciwość, co mieniem poddanych się karmi.
Już mały pokoik napełnił się zgrają.
Brzęk ostróg, szczęk broni, trącanej wzajemnie,
tu w jeden się łoskot najezdczy zlewają,
co w mojem mieszkaniu bezczelnie drwi ze mnie.
Kazano mi zaraz oświetlić mieszkanie,
z nich jeden się ozwał: »Prosimy o klucze,
»a także o szczerość na każde pytanie,
inaczej ja pana tej cnoty nauczę.
Gdzieś wczoraj wychodził o późnej godzinie?
coś robił? mów zaraz otwarcie i szczerze!
Żeś strzelał pan wczoraj, to widzę po minie.
Mów prawdę natychmiast! wykrętom nie wierzę;
a zresztą, żeś winien, mam pewność niezłomną,
potrzeba, byś przyznał się tylko do winy,
a resztę urzędy darują, zapomną —
dziś śmierć naczelnika to fraszka, to kpiny«.

»Przepraszam! — ja na to — i czegóż wy chcecie?
Wszak jeśliście pewni, żem winien tej zbrodni,
zbyteczne me zdanie... zrozumie to dziecię.
Wy kłamcy obłudni! mężowie wyrodni!
A co się zaś tyczy, gdziem był zeszłej nocy —
przysięgam! mam świadków, żem spał w tej komna-
Wódz hordy, co słuchał mię dotąd milczący, [cie«.
wykrzyknął: »Padlecy! już wy mnie poznacie.
Molodcy! przetrząsnąć mi wszystko i wszędzie«,
ochrypłym już głosem zachęcał swą zgraję,
»niech wiedzą Polaki, że Moskal kpem będzie,
jeżeli nie zniszczy, co w drodze mu staje!
Przetrzepać te książki, papiery, szuflady,
oderwać podłogę, poszperać wśród żwiru,
a nasz pan niewinny, choć drżący, choć blady,
conajmniej powącha klimatu Sybiru«.
»Nie trzeba«, wtrąciłem, »zachęcać żołnierzy,
zazwyczaj w tym razie wystarcza skinienie,
wszak proszę popatrzeć, jak zwinni w grabieży,
czyż godzi się brudy ubierać w cnót cienie?«
»Ty zamilcz, sobaka!« — ofuknął mię strażnik,
a inny bolesny wymierzył policzek —
»przywiązać chalerę! a hultaj! miatieżnik!
chce zęby postradać, nim włożą mu stryczek«.
Chwyciły mię zewsząd żołdackie ich dłonie
i wkrótce znalazłem się w kącie związany,

nie myśląc już nawet o jakiejś obronie,
bezsilny, skrwawiony, przemocą zdeptany.
Dość długo tak leżę zaledwie, że żywy.
Jak przez sen już słyszę hańbiące bezprawia,
aż zbudza z omdlenia mię okrzyk wrzaskliwy:
»Znalazłem!« Co? — myślę — to w podziw mię
gdyż w partyi żadnego udziału nie miałem, [wprawia,
a skrypty i druki spokojnej raz chwili
głęboko w ogrodzie pod drzewem schowałem,
skąd corpus delicti? Czy słuch mię nie myli?
O nie! gdyż z tryumfem coś chciwie czytają;
z nich jeden już znalazł skandale w zdobyczy
i treść w swym przekładzie wyjaśnia przed zgrają—
ta pięścią wygraża i wyje i krzyczy.
Zdumiony więc słucham, czem grozić mi mogą?
Co znaleźć tu mogli, gdzie nic nie chowałem?
Czyż straszą mię tylko przez mściwą złość wrogą?
Lecz nie! jeden czyta coś głośno tchem całym:
— Przed Twoje ołtarze zanosim błaganie —
»Słuchajcie, panowie, jak czort ten się modli:«
— Ojczyznę i Wolność racz wrócić nam, Panie! —
»Ha, wściekłe sobaki! ha, zdrajcy wy podli!
Zabierzcie go zaraz, a prędko, a żywo!
Wyśpiewa on wszystko, co wobec nas kryje.
Nikita! wyprowadź go łapką życzliwą
i naprzód! do koszar! zabierać co czyje!«

II.

Pod konwojem.

Zepchnięty ze schodów, pod łapą Nikity
padałem na ziemię, na śnieg w czasie zimy,
żałosnem obliczem i okiem banity,
żegnając swe gniazdko, swój kącik rodzimy.
Tęsknota i smutek jak w jedno ogniwo
spoiły się z duszą i mimo mej woli
ozwały się gamą żałosną i tkliwą
na strunach najczulszych ojczystej niedoli.
I grały te struny tak smutnie, o Boże!
tak smutnie rzewliwie piosenkę wygnańca,
nie obcą nam dzisiaj, a może... a może
już grały preludjum aryjki skazańca.
Przed bramą obozem znów stoją strażnicy,
co ofiar pilnują, schwytanych tej nocy,
i na nas czekają wśród ciemnej ulicy;
w ich dłoniach lśnią szable lub kindżał błyszczący.
Przy jasnem obliczu krwawego księżyca
widziałem zmierzone do tłumu bagnety,
widziałem bezbronnych sperlone łzą lica,
widziałem i mężczyzn, widziałem kobiety.
Wraz z nimi ruszamy na znak oficera,
co więźniów badawczym swym wzrokiem obiega,

a na mnie z podełba szczególnie spoziera
i bacznie pilnuje, jak zbója lub zbiega.
Nikitę co chwila oczyma pogania,
by w musztrze mnie ćwiczył bądź pięścią, bądź nogą,
bądź kolbą, stosownie do swego uznania,
»A zresztą«, powiada, »nie żałuj nikogo«.
Nikicie nie trzeba powtarzać dwa razy:
on przywykł członkować już nawet człowieka,
jeżeli takowe usłyszy rozkazy;
za śmierć bowiem męża wciąż ranga go czeka.
Wistocie swą kolbą wywija ochoczo
i uczy, gdzie prawa jest strona, gdzie lewa,
a których on trąci, ci krwią własną broczą,
a kogo ugodzi, ten ducha wyziewa.
I rozpacz mię bierze, gdy widzę te zbrodnie,
oparte na pięści, na gwałcie, na sile,
z uśmiechem szyderczym spełniane wyrodnie.
A cóż pokrzywdzeni? Ha, cierpią i tyle!
A skargi ich ciche, jak straszne pioruny,
spadają na harfę zbolałej mej duszy
i z taką goryczą targają jej struny,
że śmierć tylko stłumi i grób je zagłuszy.
Idziemy schyleni pod musztrą żołnierzy,
śnieg chruści pod stopą, mróz wszystkich przenika,
gdyż nawet bez butów, bez ciepłej odzieży
prowadzą nas kilku do stóp naczelnika.

Po drodze widzimy i inne oddziały,
z tryumfem kroczące bocznemi drogami,
co w innej dzielnicy nieszczęsnych tłum cały
ujęły i pędzą do koszar kolbami.
  A stamtąd jęk jakiś raz po raz doleci,
  co więcej nad inne w mą duszę się wciela,
  oznacza on bowiem płacz niewiast, krzyk dzieci,
  a nawet niekiedy i głos przyjaciela.
Tak, idąc przez miasto, dotarliśmy wreszcie
do miejsca, gdzie stoi ich buda zielona.
Tam wściekli żołdacy schowali już pięście
i wzięli skrwawioną swą broń na ramiona.
  Wepchnięto nas gwałtem na wielkie podwórze,
  z podwórza pod strzechę, gdzie zaduch i wonie,
  a nawet i żłoby, leżące przy murze,
  mówiły, że stały niedawno tu konie.
Drzwi kute za nami trzasnęły z łoskotem
i widok ciekawy rozwinął się zrazu:
stu ludzi leżało na słomie pokotem!
O, nigdy nie stracę ja tego obrazu!
  Tu młodzian — tam student, tu chłop — tam nie-
  stanąłem jak wryty, oczyma lustruję, [wiasta,
  do krocset... toć widzę młodzieży pół miasta,
  a każdy z nich duma, co los mu gotuje.
I ma nad czem dumać, gdyż dzisiaj nas karzą
Nie według win naszych, lecz według imienia:

»Iż jesteś Polakiem, tą nacją nam wrażą,
więc słusznie sąd grzywnę na Sybir zamienia«.
Niejeden więc siedzi jak trup na uboczu
i blady i siny, snadź w gorzkiej zadumie,
bo nawet nie zdzierża kapiących łez z oczu,
a może nieborak ich wstrzymać nie umie.
Niejeden w swe siły już zwątpił widocznie,
gdyż cicho, acz ufnie gdzieś szepce pacierze:
»O Panie! bez Ciebie, cóż marny proch pocznie?
Ty wiesz, że Cię kocham, że ufam, że wierzę«.
A inny do słomy swą głowę przytula
i pyta w rozpaczy: »O Boże! co powie
najdroższa mateczka, matuchna, matula,
gdy o mnie się dowie? Gdy o mnie się dowie?«
Te słowa i mnie też do głębi wzruszyły:
i ja mam matulę; bez ojca, bez braci —
jedyną już tylko... a słabe jej siły
do reszty dziś zczezną, do reszty je straci.
I ona nic nie wie, co ze mną się stało,
bo kiedy ta horda bezprawia czyniła,
zmęczona przespała staruszka noc całą
i może o najściu we śnie tylko śniła.
Ruszyłem więc dalej i siadłem na ziemi;
bezwiednie do wspólnej harmonji się stroję —
i łączą się moje westchnienia z innemi,
i płyną z innemi synowskie łzy moje.

III.

Sąd.

Wtem wchodzą żandarmi, rzucają oczyma
na prawo na lewo z ironją na twarzy,
naczelnik ich listę na dłoni swej trzyma
i czyta wybrańców przybocznej swej straży.
A których z nazwiska z imienia wymieni,
lub palcem na chybił czy trafił im wskaże,
tych ciągną zuchwalcy, jak psy rozwścieczeni,
z okrzykiem: »Do śledztwa! ha, syny wy wraże!«
A okrzyk ten budzi nas ze snu rozpaczy
i zmusza zapomnieć o domu, rodzinie,
by radzić, by myśleć, czy z rąk tych siepaczy
wymiga się człowiek, czy w łapach ich zginie.
Powstaję z innymi, spoglądam wokoło
i widzę najbliższych znajomych mych wielu —
podają mi dłonie i, chyląc swe czoło,
żegnają mię cicho: »Bądź zdrów, przyjacielu!«
Zaledwie po krótkiej słów paru zamianie
przyjaciół na ławę sądową wezwano,
a ja znów usiadłem na boku przy ścianie
złamany na duszy, z nadzieją zachwianą.
I myślę: »Choć w żadnej bojowców ja sprawie
nie byłem, co dziś mi wyrzuca sumienie,

to jednak najskrytsze sekrety ich prawie
ja znam do omegi jak chory cierpienie.
I coś mi znów szepcze i w kółko powiada:
»Młodzieńcze, szczędź życie! młodzieńcze, szczędź siebie,
zdemaskuj ich kilku, toć przecież nie zdrada,
a będziesz wnet wolny, jak słońce na niebie«.
I słucham czas długi podszeptów szatana,
z lubością napawam się blaskiem swobody,
i cieszy się dusza cierpieniem złamana,
jak w puszczy pragnący, gdy ujrzy zdrój wody.
I coś mi nasuwa wciąż myśl myśl tę jedyną:
»Ty szukaj ucieczki, choć zdradą współbraci!
Co los im zgotował, już tego nie miną,
ty żywy zostaniesz — któż z nich na tem straci?
A jeśli zamilczysz, wydadzą się sami,
lub z jednej iskierki zapali się hubka;
napróżno już będzie zalewać się łzami,
napróżno, gdy wszyscy staniecie u słupka«.
Tak słabość człowiecza niekiedy zwycięża
i honor i godność, aż hańby się ima;
i wróg swoje bierze bez szczęku oręża,
zdradzonych zabija i zdrajców też trzyma!
Wtem staje przedemną znajomek Nikita
i, biorąc mię za kark, nie licząc się z niczem,
oznajmia, że sędzia uprzejmie mię wita
i prosi zdać sprawę przed jego obliczem.

Zadrżałem, sarkazmem służalca rażony:
odezwał się honor w mej jaźni granicie:
skoczyłem jak tygrys, jak lampart raniony,
i dzielnie wyciąłem policzek najmicie.
Ten runął jak długi, wzywając pomocy;
stróż gwizdnął na alarm, na trwogę straszliwą;
wkroczyli żołnierze na straży stojący
i z wyciem na szablach wynieśli mię żywo.
Zbryzgany krwią cały, w sińcowej koronie,
lecz dumny, podchodzę do stołu sędziego.
Pierś zemstą mi gorze, a twarz jeszcze płonie
rumieńcem zwycięzcy, co siebie samego
zwyciężył w tej chwili i przysiągł na wieki
tem krzywdę swą pomścić, co bardziej ich boli:
porzucić już rolę chromego kaleki
i milczeć o winach przyjaciół niedoli.
O, już nie ujrzycie mnie zdrajcą, sędziowie!
Ujrzycie tytanem, co klątwy nie łamie,
co zna tajemnice, nic jednak nie powie!
Stracicie mię pierwej, niż zdradą się splamię.
Niewinnym ja byłem, dziś szukam swej winy
dziś chciałbym wystrzelać was i dzieci wasze
lub strącić w czeluście, w bezdenne głębiny
i śmiać się, jak chłopię, co dusić ma ptaszę.
»Ty zamilcz, rozbójnik! Hej, bratcy sołdaty!
On »wobec portretu« buntuje się jeszcze;

weźmijcie go dziarsko do innej komnaty,
osądzę zaocznie i wyrok obwieszczę«.
Choć ten już w archiwum był gotów oddawna,
czekano na jakieś pozory jedynie,
gdyż wówczas już będzie legalnie śmierć prawna
i pewność, że darmo skazaniec nie ginie.
Przeczytał mi sędzia ów wyrok bez zwłoki:
»Iż sługę naszego chciał zabić Nikitę,
znieważył ohydnie majestat wysoki,
więc, jak miatieżnika i jako bandytę,
rozstrzelać każemy w przeciągu tej doby,
na postrach mieszkańcom i wrogom cesarza,
by widząc swych braci zbryzgane krwią groby,
wiedzieli, że zginie, kto państwu zagraża.
Przeczułem to wczoraj, co stać się dziś miało,
spokojnie więc czyszcząc paznogcie u ręki:
»O głupcy!« powiadam otwarcie i śmiało,
»nie wiecie, że wasze tortury i męki
wykształcą nas wszystkich na mistrzów cierpienia,
a mistrz, choć upada, lecz wkońcu zwycięża.
Pomnijcie, że los wasz na zawsze się zmienia,
gdy siłę poznamy nowego oręża!«.
Zwycięży, kto umie z cierpienia brać płody,
gdyż ono mu siły zjednoczyć pomoże,
a wiodąc i partye i stany do zgody,
rozkuje poddaństwa i hańby obrożę.

IV.

W więzieniu.

To wczoraj się działo. Dziś budzę się rano
i widzę, jak ranek uroczo zakwita
tej doby, o której już tak napisano,
że będziesz rozstrzelan, jak wstrętny bandyta,
jak zbój lub opryszek od roku szukany,
co grabi, morduje, bez liczby zarzyna,
aż wreszcie schwytany i skuty w kajdany,
przy słupku swe życie i los swój przeklina.
Lecz chylę swe czoło przed wolą Jehowy,
z pokorą przyjmuję ten puhar goryczy,
z nadzieją, że kiedyś nadejdzie dzień nowy,
że kiedyś Bóg Dobry łzy moje doliczy
do łez, już wiszących na niebios tych stropie,
co żebrzą litości nad polską krainą,
a Ten je wysłucha i rzuci swe kopje
na głowy ciemięzców i wszyscy poginą.
Sam jeden zamknięty tak leżę na pryczy,
lecz duchem wędruję, gdzie myśli mię wiodą,
gdzie pamięć dosięgnie, gdzie sen się graniczy
z prozodją tej ziemi obłoków przegrodą.
I wszędy spotykam najdroższe osoby
to druhów, przyjaciół, anioły dziewice,

z którymi spędziłem dni życia wiośniane.
O jakżeż zapomnieć ten cud-krasnolice?
jak trudnem to będzie, gdy przyjdzie godzina
i wszystkie w przepięknej dziewiczej swej krasie
po raz już ostatni przed duszy oczyma
przebiegną i zginą, nim wzrok się napasie,
nim oko skazańca pożegnać je zdoła,
nim serce w najczulszym miłości rozkwicie
jedynej nad wszystkie gołąbce zawoła:
»Pamiętaj, żem kochał cię zawsze nad życie.
Pamiętaj, że kiedyśmy wyszli hen w pole,
zrywaliśmy kwiatki, tak ciesząc się wiosną,
i jeślim ci dawał najwięcej pachnące,
to z myślą, że tylko dla ciebie te rosną.
Pamiętaj, że kiedyśmy wyszli hen w pole,
i ptaszę przy lasku nuciło nam z drzewa —
ja słuchać nie śmiałem, jak drżące pacholę
sądziłem, że tylko dla ciebie tam śpiewa.
Pamiętaj, że kiedy w lesistej kotlinie
zbierałaś raz głogi, lubując się wonią —
ja tknąć ich nie śmiałem, spostrzegłszy jedynie,
że kwitną dla ciebie, odemnie zaś stronią.
Pamiętaj, że żyłem jak gołąb dla ciebie,
by kiedyś na zawsze złączeni radośnie
śnić dalej tak słodko, jak gwiazdki na niebie,
i marzyć wraz z tobą o szczęściu, o wiośnie«...

I żegnam tak dalej spowity w marzenia,
gdy zamki zgrzytnęły, i w drzwiach mojej celi
ukazał się kapłan, kapelan więzienia,
co ducha skazańca pociesza, weseli,
co wlewa mu słodkie ostatnie nadzieje,
co broni przed gromem piekielnej rozpaczy,
co słowem pociechy do męstwa zagrzeje,
co wszystko wysłucha i wszystko wybaczy.
Skoczyłem przywitać tę postać sędziwą
i dzięki wyrazić serdeczne, dziecięce.
On zbliżył się trochę, chwyciłem go żywo
i łzami zrosiłem mu suknie i ręce.
»Pax tecum!« powiada, oblicze wzruszone
współczuciem i żalem unosząc nade mną,
»niech będą przez Boga twe krzywdy pomszczone,
niech skarga twa cicha nie będzie daremną!«
Wziął stułę na siebie, a modląc się długo,
rzekł wreszcie: »Mój synu! ja ufam, ja wierzę,
że świętą nie wzgardzisz ostatnią posługą,
więc klęknij z pokorą i kajaj się szczerze.
Z dziecięcą ufnością swe winy i grzechy
wypowiedz, jak tego się Bóg dopomina,
a Ten cię obdarzy swym skarbem pociechy,
i słodką ci będzie ostatnia godzina«.
Przykląkłem i serca otwieram głębiny,
wynurzam najskrytsze swe żale i skargi,

wyjawiam, i myśli, i słowa i czyny,
i płaczę wzruszony... I drżą moje wargi,
gdy mówię, tak szczerze do niebios wysłańca,
co nędzę człowieka po ludzku rozumie,
gdy mogę już zwierzyć zlecenia skazańca
z ufnością, że kapłan już zdradzić nie umie.
Skończyłem wyznanie i czekam w pokorze,
by teraz rozwiązał mą przeszłość brzemienną,
gdy ksiądz zrzuca suknie!... O zgrozo! o Boże!
on staje w mundurze żandarma przedemną.
»O głupi ty, Lachu!« powiada z uśmiechem,
»pod kijem ty milczysz jak kłoda, jak zwierzę,
a później sam paplesz z bojaźni przed grzechem.
Czy wiesz, komu twoje tajniki powierzę?«
Zachwiałem się zrazu i cały zadrżałem
na myśl o ohydnym podstępie w tym czynie,
lecz wnet podjudzony i zemstą i szałem
strzaskałem łeb stołkiem tej podłej gadzinie.
Zatoczył się, runął, wstrząsany przez dreszcze,
mózg sączył się raną, on mrugał powieką,
i z moją spowiedzią, ziewnąwszy raz jeszcze,
leniwie się powlókł przed tron Najwyższego.
A mnie po sto knutów od onej już chwili
liczyli, ilekroć na trupa spojrzeli,
i jeślim omdlewał, raz po raz trzeźwili,
aż ledwie żywego wywiedli mię z celi.

V.

Egzekucja.

Zaledwie zczezł nocy cień smętny, ponury
i kirem swych skrzydeł zmiótł mgły i opary,
zaledwie rozwiały się krwawe purpury
zórz, którym grał boreasz ranny fanfary,
a już przed więzieniem czekały głów tłumy:
i mężczyzn, i niewiast, i starców, i dzieci,
a każdy z nich smętny wśród głuchej zadumy
rozmyśla, jak różnie to życie się kleci:
w jednego pioruny złowrogi los miota,
choć czystą ma duszę jak kryształ przezroczy;
innego olśniewa nieziemska pozłota,
choć cnota plunęłaby prosto mu w oczy,
choć cnota wydarłaby wszystkie mu godła
i z klątwą wrzuciłaby w błoto cuchnące,
wskazując jak krzywda bliźniego zawiodła;
ta krzywda, na którą dziś płaczą tysiące.
Niekiedy odezwie się głos przytłumiony,
co echem grobowem gdzieś ginie bez wieści:
to szepty, westchnienia przejętej matrony,
lub pełen współczucia płacz cichy, niewieści.
Zaś całe te tłumy, jak grób tajemnicza,
ujęła i żałość i trwoga bezwiedna,

tak straszna, że wszystkie pobladłe oblicza
wydają się razem, jak gdyby twarz jedna
patrzyła wciąż w bramę w przedśmiertnej bojaźni,
skąd wywieźć mię mieli pod bronią nabitą
cesarscy żołnierze na miejsce mej kaźni,
by tam już zakończyć komedję z bandytą.

*
* *

Wtem blizko złowieszcze kraknęły z drzew wrony,
i, jakby na rozkaz ich, trąbka zagrała,
i wyszły dwa zbrojne ułańskie szwadrony
w bojowym rynsztunku. Postawa ich cała
buńczuczna, chełpliwa z Nikitą na przedzie,
co dostał już szlify i miecz oficera,
co objął komendę i oddział swój wiedzie,
by widzieć, jak jego pogromca umiera.
Tuż za nim wytoczył się ze mną wóz duży,
i skoro lud ujrzał śmiertelne me szaty,
zajęczał, zaszemrał, jak las w czasie burzy,
wyciągnął swe dłonie i sypał mi kwiaty.
Zaś wzamian za rzewne owacje te bratnie
skinieniem, i głowy, i oczu, i ręki
rzucałem dziękczynne spojrzenia ostatnie
i tęsknem obliczem składałem im dzięki.
A lud mię rozumiał, jak matka rodzona
rozumie ostatnie spojrzenia dziecięcia,

gdy śmierć-tygrysica wydziera je z łona
i chwyta w skostniałe swe zimne objęcia.

*

* *

Mijaliśmy miasto, gdy ósma z wież biła;
i dalej jedziemy za cmentarz, pod lasek,
gdzie palik już stoi, lśni złota mogiła;
w słonecznych promieniach wyzłocił ją piasek,
a wewnątrz błyszczące kamuszki, głaziki,
jak ciemne szmaragdy, szafiry, rubiny
przybrały ją cudnie na wzór mozajki,
by proch mój nie dotknął ni błota, ni gliny.
Stanęliśmy wreszcie przy złotej mogile.
Zabrzmiała donośna komenda Nikity:
»Stój! z koni! krok naprzód! odetchnij na chwilę!«
zaś do mnie się zwrócił: »Ty będziesz zabity,
więc możesz mię prosić o kilka chwil zwłoki,
byś z Bogiem pogadał, nim złożysz mu życie,
którego tak chciały odwieczne wyroki,
że dały cię w ręce druhowi Nikicie«.
»Nie proszę — powiadam — lecz żądam od ciebie,
stosownie do waszych ukazów i prawa,
byś wezwał mi starca, niech on mnie pogrzebie!
On stoi tam z boku... o... jego twarz łzawa!«
Wzywają staruszka; ten rzuca swe kije
i bieży wprost do mnie: »Witajcie, mój starcze!

darujcie, że waszych sił starych użyję,
darujcie, że trudną was pracą obarczę.
Pogrzebcie me ciało, by ręce splamione
nie tknęły po śmierci naczynia mej duszy.
Przysięgnij mi, starcze, nim ducha wyzionę,
że żaden z tych gadów mnie więcej nie ruszy!
Przysięgnij, że, kiedy zasypiesz mię ziemią,
nasadzisz tu drzewek, a skoro wyrosną
i grób mój zielonym swym liściem ocienią,
i ptaszę zakwili tu piosnkę żałosną,
zawiesisz wysoko krzyżyczek maleńki,
a raczej obrazek z pod stóp Częstochowy,
tej naszej Królowej Najświętszej Panienki.
Niech w wonny poranek i w wieczór majowy
na cześć tej Dziewicy brzmią pienia radosne;
a wówczas w tej ciemnej i zimnej mogile
odczuję, i szczęście, i rozkosz, i wiosnę,
i słodko spał będę w grobowym mym pyle.
A teraz weź jeszcze choć czapkę tę moją
i zanieś matuli i powiedz: »Od syna«.
Niech ludzie ją dobrzy pocieszą, ukoją,
i poproś, niech w modłach mię często wspomina«.

*
* *

Dziad runął na ziemię, u stóp mu się wije,
lud głowy odsłonił, podniosły się jęki,

I ledwie te słowa wymówił: »Niech żyje
Polonia i naród ten Polski na wieki!...«
gruchnęły dwie salwy w niewinną ofiarę
i do dna wychylił bohater swą czarę.
To w części widziałem, a w części słyszałem
i z bólem, ze łzami na papier przelałem.

. . . .
. . . .
. . . .

DRUKARNIA
W·L·ANCZYCA
i SPÓŁKI
W KRAKOWIE